Lwów, 28. Września. Nr 116. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr.— półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

Z końcem tego miesiąca kończy się trzeci kwartał „Nowin". W październiku po trzytomowej powieści Dziwożona nastąpi powieść w jednym tomie *J. I. Kraszewskiego*. Prenumeratorów kwartalnych upraszamy o wczesne zamówienie dla dogodniejszego urządzenia expedycyi i aby bez przerwy to pismo otrzymywać mogli. Dołączone ryciny mód kosztują kwartalnie 1 złr. m. k.

DZIWO - ŻONA.

Powieść społczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XI.

(Ciąg dalszy).

To rzekłszy, począł się zbierać i pomału wysuwać poczciwy i nieszczęśliwy Mateusz. Jego poczciwość i nieszczęście pochwyciły silnie Kamila za serce, jak to zawsze bywa, kiedy w gnieździe plugastwa i podłości znajdzie się serce prawe i niepokalaną miłością bliźniego natchnione: ale w tej chwili jego serce było przepełnione taką powodzią najróżnorodniejszych uczuć a jego głowa oblężona takiem mnóstwem myśli, że nie będąc wcale sobie przytomnym, tylko ściskał szorstkie ręce starego woźnicy, nie wiedząc sam, czy ma go zatrzymać jeszcze, czy puścić. Atoli Mateusz, nie tak łatwo dający się porywać uczuciom, wydobył się z objęć wdzięcznego młodzieńca i wysunął się cichaczem do sieni.

Kamil został się sam z swojemi myślami.

Z początku zdawało mu się, że będąc sam na sam ze sobą, uporządkuje sobie z łatwością to wszystko, co opowiadanie starego woźnicy nagromadziło w jego serce i głowę, a zrobiwszy taki porządek, dojdzie z równą łatwością do jasnego pojęcia teraźniejszego położenia swego a stąd do jakiegoś postanowienia, co ma począć ze sobą. I nie było to wcale zarozumiałością z jego strony, że sobie o tyle zaufał; bo w rzemiośle porządkowania myśli i prowadzenia ich pewnym torem do celu, miał on wiele talentu i wprawy, i mógł nieledwie zawsze pewnym być siebie. Atoli są momenta w tem życiu naszem, momenta nachodzące nas bardzo często w młodości, w których wrażenia serca i razem z niemi się rodzące uczucia, z taką gwałtownością i siłą obejmują całą naszą istotę, że cały jej narząd do myślenia i rozumowania ustaje nagle w swym ruchu i odmawia stanowczo posługi. A taki moment właśnie nawiedził teraz Kamila.

Niespodziewana podróż marszałkowej do miasta, jej chęć utajenia tej podróży, jej rozmowa z jakimś tam panem, podejrzenie rzucone na nią urzez starego woźnicę, jej wzrok triumfujący i humor wesoły po powrocie do domu, i wszystko to zaszłe właśnie teraz po owej scenie w salonie, i odniesione do swoich podobieństw i możliwości, wszystko to wydawało się Kamilowi koniecznie wstępem do jakiegoś ważnego wypadku: czuł on nawet dość jasno, że tylko-by mu się przez chwilę potrzeba namyśleć, ażeby stąd wniosek prawdziwy wygrzebać, z tego wniosku można-by niezawodnie wpaść na myśl szczęśliwą jakiegoś na wypadek potrzeby ratunku: ale ani jedna z tych myśli nie była w stanie przedstawić mu się w należytej jasności, bo przed jego oczyma stał ciągle stary Mateusz, ze swoją poczciwością i poświęceniem, człowiek prosty a tak wielki w swojej prostocie, i o tyle jeszcze większy, ile że urodzony na śmieciach i w brudzie, stał się jedyną perłą błyszczącą w obec tych, którzy urodzeni na wysokościach i przeznaczeni do wiekuistej świetności, przedstawiali tylko kloakę zepsucia i brudu.

Prototyp egzemplarza takiego miał Kamil od dawna w swej duszy. Około ideału tego obwijały się wszystkie jego teorye. Wypadek taki był u niego zawsze regułą i stanowił fundamentalną zasadę. Teraz znalazł on ten wypadek w rzeczywistości! ideał zamieniony w żywego człowieka! teoryę obleczoną w szatę dotykalną i rzeczywistą!

Jak głębokie więc było wrażenie, które na nim sprawiało to niespodziewane odkrycie i jak gwałtowne były te uczucia, które się pod tem wrażeniem w jego sercu zrodziły, pojmie z łatwością ten, kto miewał jakiekolwiek marzenia w młodości i młodem sercem pragnął je widzieć zamienione w rzeczywistość i prawdę. A któż w tym wie-

ku nie miał marzeń i pragnień? — Niedziwna więc, że cała noc następna zbiegła Kamilowi na samych myślach pustych, latających po świecie jego własnych teoryi, i na uczuciach może bardzo głębokich i szczytnych, ale pomimo to jakby siłą jakąś nadludzką przywiązanych do starego stangreta.

Ze świtem dnia następnego i chłodem porannym w powietrzu ochłódła cokolwiek jego głowa i ostudziło się serce, i wtenczas-to dopiero zaczęły mu się nasuwać coraz trzeźwiejsze domniemywania dzisiejszych chęci marszałkowej dla niego i celów jej podróży do Czarnogrodu. Zaczął więc myśleć nad tem trzeźwo i poważnie. I to wszystko, co mu Mateusz tak o mściwości zdradzonych kobiet, jak o usposobieniu moralnem Marszałkowej powiadał, uznał on nie tylko bardzo trafnym domysłem, ale nawet zupełną prawdą. Że ta podróż tajemna do pobliskiego miasteczka miała jakąś styczność z jego losem, zdawało mu się rzeczą bardzo prawdopodobną, a że, jeżeli ta styczność miała miejsce istotnie, nie mogło tu chodzić o nic, jak tylko o zemszczenie się nad nim, zdawało mu się być rzeczą pewną. Szło więc tylko o odgadnięcie rodzaju zemsty. Trucizna, o której stangret mu napomykał, nie chciała mu jakoś przypadać ani do jego pojęcia o charakterze tej starej kobiety, ani do jego przeciw niej przewinienia, — atoli natomiast nasunęła mu się myśl inna. I ta myśl była straszna, obrzydliwa, okropna! najokropniejsza nad wszystkie trucizny i wszystkie rodzaje zemsty na świecie. Kamil też, nie tylko jej rzeczywistości przypuścić, ale nawet nie był w stanie z nią się oswoić. Zdawało mu się, że jakieś straszne widmo, że jakieś piekielne straszydło, że sam szatan przystąpił do niego, bo sama myśl ta wydawała mu się tak strasznie podłą, tak obrzydliwie plugawą, że samo jej przypuszczenie do siebie było ohydnym występkiem. Więc opędzał się przed nią wszelkiemi siłami, stawiał przeciw niej całe swoje uczucie prawości, ufności i wiary, zbijał ją wszystkiemi dowodami rozumu, — ale to wszystko nie pomagało nic, straszydło bowiem to, zakradłszy się raz w jego duszę, nie dawało się niczem odpędzić, a odpędzone z tej, pokazywało się zaraz z owej strony, zabite w głowie, odradzało się w sercu. Z tak uporczywym napastnikiem Kamil nie umiał sobie dać rady, i na tak bezowocnej walce zeszedł mu cały czas aż do samego południa.

Dano znać do obiadu. Przy obiedzie, jakiekolwiek tam były usposobienia serc i umysłów, Kamil zwyczajnie najwięcej bywał zajęty Adelą. Dziewczyna ta, chociaż stała się źródłem samych cierpień a często nawet powodem piekielnych mąk dla niego, była jednak zawsze tą jedyną istotą żyjącą w tym domu, z którą go łączył jakiś związek bliższy i która, czy to pastwiąc się nad nim, czy obudzając drogie przeszłości wspomnienia, nie przestawałą być ową główną przystanią, do której zawijały zewsząd jego wszystkie uczucia i myśli. Jej też najczęściej, a w jej przytomności zawsze, była poświęcona cała jego uwaga. Dzisiaj atoli Kamil ani spojrzał na nią. Przez cały obiad jego oczy prawie nie odwracały się od twarzy pani marszałkowej, i to często z taką mocą i z takiem zajęciem w nią się wlepiały, jak gdyby chciały przeszyć sobą jej czaszkę i wyczytać, co tam stało napisano na mózgu, i przedrzeć piersi, ażeby posłuchać, co tam szeptało jej serce. Atoli marszałkowa tego niemego śledztwa nawet nie dostrzegała i przez cały obiad była tak wesołą i gadatliwą, jakby jej się coś najszczęśliwszego zdarzyło, albo jak gdyby lada chwila się spodziewała pewnego ziszczenia jakiejś długo oczekiwanej nadziei. Adela była smutną, milczącą i jak gdyby strwożoną, a rzucając często oczyma na zajętego marszałkową Kamila, miała przytem na twarzy jakiś wyraz niepewny, chwiejący się pomiędzy litością a rezygnacyą i nie mogący się ostać przy żadnej. Ojciec Adeli był ponury i kwaśny, i nie tylko nie dał się rozweselić widocznie to na celu mającej swej siostrze, ale nawet po kilka kroć ją obdarzył odpowiedzią niegrzeczną i prawdziwie żołnierską. Kiedy wstawano od stołu, obrócił on się do Kamila i rzekł mu:

— Przyjdźno aspan do mnie o szarej godzinie, mam z nim o czemś pogadać.

Tak tedy Kamil, spodziewając się wszystko, nic nie wyczytał ani z oczu marszałkowej, ani z jej twarzy, i wróciwszy do swego pokoju, tak samo nic nie wiedział jak przedtem.

Znalazłszy się w samotności, chciał jeszcze raz bliżej rozpatrzyć się w całem swojem teraźniejszem położeniu i jeszcze raz próbować, ażali nie odgadnie teraźniejszych zamiarów marszałkowej względem niego. Atoli w tej chwili nie był on w stanie nic zgoła myśleć. Jego głowa była w szczególniejszy sposób zajęta, jego serce było przepełnione jakiemiś niezupełnie świadomemi siebię uczuciami, jakaś dreszcz dotąd jeszcze niedoznawana przebiegała po jego nerwach, i zgoła było mu tak, jak gdyby był w oczekiwaniu jakiegoś ważnego wypadku, którego ani pragnął, ani się obawiał, a któren jednak miał mieć jakieś ważne i stanowcze znaczenie.

Ludzie, wierzący w wieszczby, w tajemny związek duszy naszej ze światem pozaziemskim, duchowym, w chwilową władzę serca ludzkiego nad zakrytą przed oczyma naszemi przyszłością, utrzymują na pewno, iż niepokalanym sercom dana jest moc przeczuwania ważnych wypadków w przyszłości. Jeżeli tak jest, to Kamil w owej chwili miał niezawodnie jakieś złowrogie przeczucie. I to przeczucie opanowało go z taką mocą, że przez całych dwie godzin chodził jak opętany po izbie, nie mogąc ani dwóch myśli w szyk jakikolwiek ułożyć i nie czując nic, oprócz jakiejś dziwnej niepewności w swem sercu i co-chwilowego dreszczu na ciele.

Tak przepędziwszy cały czas po-obiedni, przed samym zmrokiem udał się do sypialni jenerała, ażeby jego wezwaniu za dosyć uczynić. Atoli jenerał dawał w tej chwili jakąś nadzwyczajną audiencyę jednemu z ekonomów pobliskiego folwarku i obaczywszy wchodzącego Kamila rzekł mu łagodnie:

— Zatrzymaj się aspan cokolwiek, aż póki go nie zaproszę.

Kamil więc wrócił do przyległego pokoju a ażeby nie mógł przypadkowo być podejrzanym o to, że chciał podsłuchać rozmowy jenerała z swym gościem, przeszedł aż do trzeciego, i tam się zatrzymał. Atoli ledwie co stanął przy drzwiach i spojrzał w wnątrz sąsiadującego z tym pokojem salonu, zaraz powstała z miejsca, tam w kąciku siedząca Adela i przystąpiła do niego.

Co tego było przyczyną, czy domniemanie nastąpić mającego wypadku, czy żal połączony ze skruchą, czy litość, czy kaprys, czy może wdzięczność za faktyczny dowód wierności: nie podobna jest zgadnąć; — to wszakże pewna, że ta tak sroga i nielitościwa przez tak długi przeciąg czasu dla Kamila kochanka, przystąpiła teraz do niego z jaknajjawniejszym wyrazem dobroci na twarzy i zapytała go głosem dziwnie łagodnym i słodkim:

— Pan Kamil przyszedł zapewne na wezwanie mojego ojca i nie zastał go w kancellaryi?

— Owszem, — odpowiedział młodzieniec, dziwując się nie pomału tej łaskawości Adeli, — zastałem papę, ale w tej chwli jest zatrudniony.

— To bardzo szczęśliwy wypadek dla mnie, — rzekła na to zawsze równie słodkim głosem Adela, bo przecie i ja raz mogę jakieś słowo do pana przemówić.

— Były czasy, — zauważał Kamil z westchnieniem i oczy opuszczając ku ziemi, — kiedy ja taki wypadek, który pani przez szczególniejszą grzeczność raczyłaś nazwać szczęśliwym, nazywałem szczęśliwym z prawdziwem uczuciem szczęścia i wdzięczności; ale te czasy już dawno minęły.... i przyszło teraz do tego, że każde ich przypomnienie napawa mnie tylko żalem i goryczą.

— Czasy te już przeminęły, to prawda, — mówiła na to zwolna i prawie z takiem samem uczuciem Adela, — ale zatrzymać je, nie było w naszej mocy.

— Tak pani, — rzekł Kamil, któremu nagle stanęło przed oczyma całe jego szczęście minione, — czas powstrzymać nie w naszej jest mocy, ale biegnąć wraz z nim w niezmienności uczuć i myśli, nic nam wzbronić nie może.

— Tak pan mówisz i to panu się zdaje być prawdą, — zauważała Adela, — ale to nie jest prawdą w istocie. Mogło-by tak być może, gdybyśmy byli i dzisiaj jeszcze takiemi ludźmi, jakiemi pan Bóg nas stworzył pierwotnie, gdybyśmy żyli na łonie bujnej i nieprzekształconej ludzkiemi rękami natury, gdybyśmy mieszkali w chatkach plecionych z liści i powojów, lub dębach wypalonych we środku, i gdyby nas od siebie nie przedzielało nic innego, jak jakaś woda, lub góra albo jakiś jar pogański. Ale myśmy się ujarzmili wymysłami naszego własnego rozumu i wynalazkami sztuk różnych — i teraz dzielą nas od siebie miliony różnych przegródek, z których często ani jedna nie jest do przeskoczenia. Dlatego to, co pan powiadasz, nie jest prawdą w istocie. Bo od tych przegródek zawisły nietylko nasze uczynki i przekonania, ale nawet nasze uczucia.

— Uczucia, pani! — rzekł na to Kamil więcej z wyrazem żalu niżeli stanowczości w głosie, — od niczego nie powinny zawisać.

— I to nie jest prawdą istotną odpowiedziała Adela, bo uczucia tylko mogą być niezależnemi, ale są położenia, w których zależnemi być muszą. A ponieważ do pańskiego przekonania trafić można tylko rozumem, więc weźmy rzecz tę na rozum. Spytam więc pana najpierwej, czy każe rozum pielęgnować i żywić w sobie takie uczucie, które ma wszelką dalszą drogę zamkniętą przed sobą i które nie może urzeczywistnić się nigdy.

— Więc zabić je w sobie i wyrwać ze serca z korzeniem? — spytał Kamil, zamykajac oddech w piersiach.

— Nie panie, — odpowiedziała przytomnie Adela, — ale przezwyciężyć je trzeba i umieć nad niemi panować, bo przeznaczenie jest takie, że biada tym, którzy nie umieją panować nad swojem uczuciem.

— O! biada po trzy kroć i biada na wieki! — dokończył z boleśnem westchnieniem Kamil.

— Tak, biada, — powtórzyła raz jeszcze Adela, — bo ci ludzie, oślepieni tem swojem uczuciem i nie umiejący przyjąć tego z rezygnacyą, co im przynosi konieczność, nietylko przez to zatruwają sobie całą przyszłość, ale jeszcze i to wszystko, co było słodyczą w przeszłości, zamieniają w gorycz a często nawet w jadowitą truciznę. Tem swojem upornem pielęgnowaniem skazanego na milczenie uczucia przyprowadzają nawet czasem i swoich bliźnich do tego, że aby ich na właściwą sprowadzić drogę, muszą im do ich kielicha nowej jeszcze dolewać goryczy. A ci bliźni nieraz, jakże-by chętnie własnemi usty ujęli im połowy tego gorzkiego napoju!

— Pani! — rzekł na to Kamil do głębi wzruszony, — ja doprawdy nie wiem... co się ze mną dzieje w tej chwili... mogłoż-by to być prawdą, ażeby w sercu pani była jeszcze choć jedna iskierka tego anielskiego uczucia dla mnie, którego od tylu miesięcy nie dostrzegłem by najmniejszego śladu?

— A powiedz mi też pan, — zapytała prędko Adela, — czy takie uczucie da się jakiejkolwiek sile zniszczyć zupełnie?

— Ja niewiem, — odpowiedział wątpiącym głosem Kamil, — ale pani....

— Spytaj się pan swojego serca, a ono panu za mnie odpowie, — zakończyła ostatecznie Adela i powolnym krokiem odeszła.

Plecyma o drzwi oparty i nieruchomemi oczyma przed siebie patrzący, został się na miejscu zamyślony młodzieniec. Tego, co się z nim stało w tej chwili, nie mógł on pojąć ani sercem ani rozumem. Za nadto mocno zakorzenione w nim było zwątpienie, ażeby się mogło w nim od razu zmienić tak wielu dowodami stwierdzone przekonanie. Pomimo to wszakże rozmowa ta sprawiła na nim bardzo głębokie i stanowcze wrażenie, jego serce, jak gdyby świeżym olśnione promieniem, poruszyło się, odżyło a dusza jego wypogodziła się tak jak gdyby dawno niewidziane słońce wzejszło w całym swym blasku na jego pochmurnem niebie. Zdawało się, że jakaś nowa siła ożywcza podniosła całą jego istotę, poczuł się w tej sile, podniósł się na duchu i poraz pierwszy w tej chwili, od czasu wstąpienia swego w te ściany spojrzał śmiałem okiem w twarz tym smutkom i bolom które się powaliły na niego.

Wszakże nie długo mógł się cieszyć tem dobrem usposobieniem, bo kilka minut po tem zaprosił go do siebie Jenerał. (C. d. n.)

Orzeł i pająk.

Wzleciał orzeł wysoko na kaukazkie góry,
I na stuletnim cedrze usiadłszy z powagą,
Wodził swe bystre oczy dokoła z uwagą,
Po nieprzebranych cudach bogatej natury.
Zdało mu się, iż całą ziemię miał przed sobą;
Tam rzeki wężykami pośród stepów cieką,
Tu z całą wiosny ozdobą,
A tam w tumanie daleko,
Sinieje czarne morze, pyszne, rozłożyste.
—«Chwała tobie Jowiszu, rzeknie orzeł dumnie,
Żeś raczył mnie obdarzyć taką lotu siłą,
Jakiej w żadnem stworzeniu niema i nie było.
Najwyższe miejsca w świecie niczem są dziś u mnie,
I mogę w bystrym pędzie tak się wzbić wysoko,
Że mnie żadne śmiertelne nie doścignie oko.«
— «Wielki z ciebie przechwalca, jak widzę mój Panie,
Rzeknie pająk, co siedział na gałązce z boku,
Nie niższe od twojego i ja mam mieszkanie.»
Spojrzy orzeł i ledwo wierzy swemu oku,
Że mu pająk nad głową roztoczył swe sieci,
Jakby chciał zakryć słońce, co mu z góry świeci.
— «A ty zkąd tu nędzny tworze!
Orzeł go zapyta z gniewem.
Odważniejsze stworzenia nie śmią w żadnej porze,
Stanąć nawet pod tem drzewem,
A ty, słaby, bez skrzydeł... jak ci się udało?
Raczkiem chyba musiałeś pełzać zimę całą?»
— «O nie, do tego niemiałbym śmiałości.»
— «A jakimże sposobem? proszę jegomości.»
— »Oto się przyczepiłem do twego ogona,
I z tobą razem górna ogląda mnie strona,
Trzymać się bez ciebie jestem teraz w sile,
Proszę więc pana orła nie pysznić się tyle.
Bo wiedz że ja»... Wtem nagle burza się zerwała,
I śmiałego pająka znowu na dół zwiała.
Niewiem jak komu, mnie się jednak zdaje,
Że mnóstwo dziś pająków mamy różnych stanów,
Którym się bez rozumu i pracy udaje
Wznieść wysoko, za ogón trzymając się panów,
A tak się z tego dmą przecie,
Jakby im orlą siłę dał bóg na tym świecie,
Lecz niech dmuchnie wietrzyk lada,
Ten co siedział wysoko na ziemię upada. A. P.

Z więzienia.

I.

(Ciąg dalszy.)

Kilka tygodni minęło; czasu tego użyłem do rekognoskowania. Widziałem Emilię codzień przechadzającą się. Wzrok jej był zawsze zwrócony ku ziemi. Od profosa jedynie dowiedziałem się, iż ma oczy niebieskie, chciałem go więcej wybadać, ale trudno było. Emilia była pobożna i często się spowiadała. Wszak teraz żadnego grzechu, popełnić nie mogła, chyba myślą. Pościła w wszystkie przez kościół przepisane dnie, w piątek przez cały dzień nic nie jadła, pobierała lening aresztancki podobnie jak my; z tego więc co postami oszczędziła, kupowała sobie igły, nici, i t. p. rzeczy. Od pięciu lat była w fortecy, a nikt przez cały czas do niej się nie zgłosił, ani listu nie napisał, ani ona do nikogo. A jednak mówiono, iż ma braci i siostry, iż ten, co niegdyś u stop jej klęcząc. miłość jej przysięgał żyje jeszcze.

Jednego dnia siedziałem właśnie z kolegą moim przy partyi szachów, gdy profos wszedł do naszej celi; przychodził właśnie od Emilii, którą po przechadzce zaprowadził był do celi i wzywał nas na przechadzkę. Prosiliśmy go, aby nam pozwolił dokończyć partyi, usiadł więc przy nas, przypatrując się grze. Gdy mój przeciwnik namyślał się, jak pociągnąć ma, zwróciłem się do profosa i rozpocząłem z nim rozmowę. Wtedy dopiero spostrzegłem, iż ma w ręku sznur jedwabny, w najdziwaczniejsze guzy powiązany.

— Skąd pan ten sznurek wziąłeś? spytałem.

— Od mojej córki. — Tak zwykł był profos nazywać Emilią, która go nawzajem w żarcie ojcem nazywała.

— Niewiem, mówił profos dalej, co za dziwną ma pasyę, bawić się ciągle tym sznurkiem, i najdziwaczniejsze nawiązywać guzy i rozplątywać je znowu.

Dziwna myśl przeszła mi przez głowę,

— Czy panu ten sznurek sama dała? spytałem.

— O! nie; wszedłszy do jej celi, wziąłem go bez myśli do rąk i bawiłem się nim. Wyszedłszy, ani spostrzegłem, iż wziąłem go z sobą, dopiero pan zwróciłeś moją uwagę.

Już dalej z uwagą partyi szachów skończyć nie mogłem; mój umysł zajęty był jedynie tym sznurkiem, w kilku pociągnieniach zamatowano mię.

Postanowiłem dostać ten sznurek, i użyłem tego samego sposobu, którego mię profos nauczył; prowadząc obojętną roz-

mowę, wziąłem mu go z rąk, niby bez myśli, zacząłem guzy rozwiązywać. Moje przeczucie mię nie zawiodło; były to myśli, słowa żywe, które pod wprawnemi palcami wyczytałem.

Więźniowie dla udzielania sobie swych uczuć, i myśli, wymyślili osobne języki. Nad powstaniem i rozszerzeniem tychże rozpisywać się nie będę. Kryminaliści języka złodziejskiego uczą się w więzieniu, polityczni więźnie rzadko kiedy tego języka wyuczyć się mogą, bo z prostemi zbrodniarzami nie mają prawie nigdy styczności. Rozmawiają się oni jedynie na migi, lub przez pukanie w ścianę. Ja sam z moim sąsiadem obok grywałam w szachy pukając w ściane. Były to często najciekawsze partye. Lecz istnieje jeszcze jeden sposób, udzielania sobie nawzajem wiadomości w więzieniu. Środkiem ku temu jest sznurek. Rzadko kto dójdzie tej tajemnicy; tylko osiwiali w więzieniu wyćwiczeni są czasem w tej sztuce; mówiono mi iż sztuka ta pochodzi od Cyganów. Jeden więzień udziela jej drugiemu pod przysięgą, iż jej nikomu nie zdradzi, i tylko drugiemu doświadczonemu więźniowi znowu udzieli. Jam się nauczył tego sposobu w kazamatach w O . . . . . Stary więzień, złamany na duchu i na ciele, z którym kilka dni w jednej celi przesiedziałem, pocieszając go ile mogłem, nauczył mię tej tajemnicy. Język ten ubogi jest w słowa; o budowie jego tyle tylko powiedzieć mogę, iż więcej składa się ze słów, jak z liter, i na tym samym prawie systemie polega, co dzisiejsza stenografia.

Taki to sznurek miałem teraz w ręku. Jakim sposobem Emilia do tej tajemnicy doszła, trudno było się domyśleć. Zapewne nauczyła się tego języka, podczas gdy przez dwa lata była w śledztwie. Począłem rozwiązywać guzy, bo w ten sposób się czyta. Wyczytałem:

— «Wierzyłam, kochałam, i miałam nadzieję. Kiedyż słońce dla mnie zaświeci? Dusza moja chora, tylko u Boga jest zmiłowanie i przebaczenie.«

Słowa te zrobiły na mnie silne wrażenie. Tymczasem trzeba było iść na przechadzkę; pod dozorem profosa udaliśmy się na dziedziniec, i poczęliśmy się przechadzać. Jak gdybym się zmęczył już, oparłem się o słup w dziedzińcu, zwróciwszy się ku oknu od celi Emilii; niby w myślach zatopiony i na pozór bawiąc się sznurkiem, nawiązałem następujące słowa; «Po każdym wieczorze następuje ranek. I ludzie przebaczać umieją. Przyszlij mi książkę powiedz, iż powinienbym modlić się.»

Na drugi dzień przyszedł profos i szukał sznurka zapomnianego. Córka się upomina o sznurek, dawał jej inny, lecz ona koniecznie domagała się swego. A więc Emilia chciała wewnętrzyć się przed współwięźniem swym. Może już od lat kilku chciała w ten sposób ulżyć sercu swemu lecz zawsze nadaremnie, teraz nareszcie znachodzi człowieka, który ją zrozumi. Niby po długiem szukaniu w celi znalazłem w kącie zarzucony sznurek, a profos poniósł go swej córce. Z utęsknieniem czekałem chwili, w której by znak jakowyś dała, iż mój list odczytała, i że wskazaną drogą udzielać sobie nawzajem swych myśli będziemy mogli.

II.

Kilka dni upłynęło, nim mi profos książkę przyniósł. Nie była to książka do modlenia, lecz »Ardent Troughton« kapitana Maryata. Emilia dała mu ją z wyraźną prośbą by ją mnie doręczył. Oświadczył nam iż Emilia umie po polsku. Ojciec jej bowiem był rodem z Galicyi, a ona dzieckiem kilka lat tam się chowała. Mówił nam on, jak nas żałuje; że książek innych prócz powieści niemieckich tu dostać nie można. A więc nie zawiodłem się na jej domyślności. Do prośby mojej guzami sznureczka wyrażonej, o pożyczenie książek do modlenia, nie tak mię spowodowała pobożność, jak raczej myśl, że za pomocą jakiejś książki najłatwiej i najbespieczniej porozumieć się będziemy mogli. Żem ją właśnie o książkę do modlenia prosił, to tylko dla tego, żem się nie spodziewał, żeby inną jaką miała. Może przesyłając mi Ardent Troughtona chciała mi dać do poznania, że i bez pomocy książki modlić się można. Dość, że mię zrozumiała, chciała ze mną wejść w rozmowę, bodaj pisemną. Biedna! Przez lat pięć nie znalazła nikogo, komuby się udzielić mogła, jak chętnie więc musiała korzystać z sposobności, tak długo wyglądanej i z smutkiem swoim podzielić się z kimś, któryby ją zrozumiał. Ardent Tronghton przeszedł przez ręce wszystkich prawie towarzyszów moich. Książkę tę nudną już dawniej czytałem, a więc nie chciałem powtarzać tej męczącej lektury. Tymczasem puściłem ją między kolegów, aby na ostatku do mnie się dostała. I po dniach czternastu przyniósł mi ją profos na powrót. Ach! w życiu więźnia minuty stają się miesiącami, a miesiące minutami. Nad pomysłem który na wolności w okamgnieniu się przeprowadzi, śród murów więziennych nieraz tygodnie prześlęczeć potrzeba. Zatrzymałem książkę u mnie przez noc, i na wewnętrznej białej stronie okładzinki napisałem ołówkiem kilka wierszy:

W samotnej celi, z smutkiem na czole,
Dumasz i płaczesz niebogo,
Czyż niańką były ci same bole?
Sam piołun rósł nad twą drogą?
— Oh! bo ja płaczę wesołe, młode,
Straciłam w wiośnie życia swobodę!

Czy nigdy dotąd anioł litości,
Do twej nie zawitał celi?
Z minionej wiosny pieśń nie zagości?
Wspomnienie nie rozweseli?
— «Litość, wspomnienie, pieśń niegdyś miła,
Mówią li o tem, com utraciła.»

Czy nie patrzyłaś na ranek złoty,
Po nocnych mrokach i burzy?
Spoglądaj w niebo! Z łez i tęsknoty,
Złota się gwiazdka wynurzy!

— „O! Wciąż tam poglądam, ja ptaszę młode,
I wierzę, wierzę w przyszłą swobodę."

Wnet dostałem inną książkę, jakiś z przed wieków opis podróży. Na wewnętrznej stronie oprawki stało napisane słowo. „Cherchez." O! żadnej pewnie książki nie przepatrzono z taką troskliwością i bacznością, ale nigdzie ani śladu, aby było co napisane. Przerzucałem kartkę za kartką uważnie tak, jak gdybym w zmroku jakiejś zguby szukał, ale daremnie, i już chciałem po kilka kroć książkę odesłać, ale zawsze to słowo «Cherchez» jak czar jaki mię wstrzymywało, bo przecież prawdopodobnie nikt go tam przypadkowo nie napisał. Jeszcze raz ostatni zabrałem się do przeglądu książki, aż spostrzegłem nakoniec malenką karteczkę wścibioną w oprawkę, można było łatwo wyciągnąć, bo tylko lekko była wlepioną. Był to liścik, pisany oczywiście ręką drżącą. Dziękowała mi za współczucie, zostawiała dla mnie nadzieje swobody, a o sobie pisała:

„Żadna gwiazda dotąd nie błysła na niebie mojem, dawno już straciłam wiarę i nadzieję, wesołą nigdy nie byłam....."

Nie mogę sobie dotąd jeszcze wytłumaczyć, jakie wrażenie list ten na mnie zrobił, ale byłem jakoś dziwnie smutny. W fortecy napchanej do tysiąca mieszkańcami, była także wypożyczalnia książek. Spis tego *Cabinet de lecture* jakiś był bardzo nie do smaku mi przypadający, teraz zapragnąłem nagle przystąpić do tego grona czytelników. Książek mi było potrzeba i nic oprócz książek. Chciałem wywdzięczyć się mojej znajomej także książkami, zresztą do dopięcia celu mego były mi potrzebne. Tak więc zaambonowałem się na kilka miesięcy na te książki, a jeźli o wielu powiedzieć można, że oprawka i papier najlepszą i najcenniejszą ich częścią, to ja przynajmniej same takie wybierałem Nie patrzyłem na treść, ale tylko na obszerność okładzinek. W prawdzie nasza korespondencya tym sposobem bardzo leniwo postępowała, bo Emilia była przymuszona, czytać dzieło każde, a nieraz kilkutomowe, a więc i przez dłuższy czas trzymać u siebie. Było to dla mnie męką, ale tak mię zajęła ta korespondencya, tajemnicza dotąd postać zewnętrzna i wewnętrzna Emilii takich dla badań moich psychologicznych i fantazyi nastręczyła domysłów, które rozjaśnić sobie usiłowałem, że z największą niecierpliwością a oraz i cierpliwością i nadzieją czekałem na te liściki, i z odpowiedziami wcale się nie leniłem. Zresztą niebezpieczeństwo tego potajemnego znoszenia się, bo narzędzia do pisania w więzieniu bardzo ostro zakazane, miało dla mnie wielkie ponęty. A może Emilia była niewinną! Ta myśl, choć wcale przy zimnem badaniu okazywała się bezzasadną przecie tak mię zajęła, że uwierzyłem w nią. (D. e- n.)

Eupatorya.

(Dokończenie.)

Niektórzy przypuszczają, że eupatoryjski meczet miał za wzór meczet, przerobiony z kościoła św. Zofii w Konstantynopolu; inni domyślają się, że meczet ten był wprzódy kościołem katolickim wybudowanym przez Genueńczyków w czasie ich panowania nad brzegami Czarnego morza. Dopatrują się nawet w meczecie tym pewnego podobieństwa z katedrą akwisgrańską i w ogóle ze staremi kościołami niemieckiemi. Jednakże wewnętrzne rozporządzenie meczetu nie potwierdza tego domysłu; wszystko tu mówi za tem, że celem pobudowania tego budynku było nabożeństwo wedle prawa Muhamedowego. Wnętrze meczetu sułtańskiego jest w najwyższym stopniu brudne, nędzne i opuszczone. Na głównem miejscu, gdzieby u nas był wielki ołtarz, trochę więcej jest ozdób i karta z Koranu; na ziemi leżą rozesłane dywaniki, z deseni i roboty zupełnie podobne do naszych kilimków, w żółte czerwone i czarne pasy, albo jakieś zygzaki, zupełnie takie, jakiemi wyścielają się łóżka u naszej czynszowej szlachty, jakiemi pysznią się pod kościołem jej skromne kałamaszki. Mury meczetu zapylone; wiele na nich napisów z Koranu, czasami nawet wypisanych literami złotemi, ale litery te dziś poczerniały. Od głównej bani wiszą lampy, uczepione do krzyża związanego z kijów, zawieszonego horyzontalnie na sznurku. Lampy te bywają kolorowe; za powiewem wiatru kręcą się na swojej osi. Od wchodu na kolumnach szerokie balkony, jakby nasz chór; tu siadają wszyscy wierni w czasie bajramu. Pod niemi jest urządzona katedra (miunber) dla mułły czytającego Koran; oprócz tego w głównej ścianie jest framuga (migrab), także na ten cel przeznaczona. W ogóle powierzchowność tej sułtańskiej świątyni przypominała nasze żydowskie synagogi. Kiedyśmy obchodzili z naszym Cicerone meczet i oglądali jego osobliwości, wszedł był do bóżnicy tatar, pozrzucawszy wprzód w przysionku swoje zwierzchnie pantofle. Obojętnie coś rozmawiał z naszym żydkiem, który uwijał się po meczecie bez żadnej ceremonii. W ogóle w twarzy tatara nie widać było żadnego poszanowania dla miejsca, w którem się znajdował. Z meczetu poszliśmy do niziutkich kramików, podobnych do szaf, przytykających do samego wejścia meczetu. W przegródkach, których półki zapełnione masztami i papuciami, siedzieli tatarzy, pracujący ustawiecznie nad wydaniem na świat nowych par swego towaru, wykrojonego z żółtego i czerwonego safianu, fabrykowanego w Symferopolu. Pytaliśmy naszego żydka o najpiękniejszy dom w Eupatoryi; ten zaprowadził nas przez ciasne uliczki do niewielkiego piętrowego domku, przed którym zatrzymał się pełen podziwu; i oglądając się na nas, chciał się nacieszyć wyrazem zdumienia z powodu tego architektonicznego cudu. Dom był o pięciu oknach, obok tego budował się jeszcze nowy o siedmiu, ale wąziutkich, jak w ogóle w mieszkaniu Tatarów. Weszliśmy na drugie piętro; to zajmowała głównie sala, niby już europejska, przytykająca do balkonu, wychodzącego na dziedziniec i obrosłego dziką winną latoroślą. Spytaliśmy o właściciela tego cudu; odpowiedział nam, iż jest to mieszkanie Bobowicza karaima, ale mówił to tak, jakby sądził, iż wiemy doskonale, kto jest ów Bobowicz. Imie tego znakomitego człowieka się zdybie tu na każdym kroku; jest to bowiem arystokrata Kozłowa. Kiedyśmy przechodzili koło mieszkalnego domu tej karaimskiej godności, spostrzegliśmy spuszczony kocz starego fasonu, na koźle którego siedział Karaim; w powozie cztery karaimki w materyalnych sukniach; para koni wcale nie brzydkich, gniadych, a koło uszu wielkie piwonije z pomarańczowej włóczki. Na koniu obok siedział karaim młody, po europejsku ubrany, miał tylko Karaimską czapkę. Żydek co siły, targał nas za poły i ukazywał palcem na tę kompaniję, szepcąc nam: Bobowicze! Bobowiczy! Udaliśmy się dalej dla obejrzenia bogatej szkoły karaimów, przechodząc śmieciska i brudne wąskie i błotne uliczki. Wszedł-

szy na dziedziniec, po jednej stronie i po drugiej ciągnęła się budowa długa; na jej białych ścianach były hebrajskie napisy na wpół zakryte wijącą się po murze winną latoroślą; był to widok nowy dla mnie napisów hebrajskich na pomnikach i grobowcach; zdawało mi się, żem gdzieś w Palestynie, za czasów egzystencyi państwa Izraelskiego.

Ludność Eupatoryi głównie składa się z Karaimów; ale prócz nich żyją tu jeszcze:

Rossyanie albo zostający na służbie, albo dymisyonowani urzędnicy albo nakoniec szlachta mająca tu jakąkolwiek nieruchomość; odstawni żołnierze, po części mieszczanie i skarbowi chłopi, zajmujący się tu rozmaitym przemysłem. Wszyscy oni wraz z Grekami mają tu prawosławną cerkiew.

Grecy, ród handlowy w całem znaczeniu słowa. Przypominają oni owe starożytne *Emporye* Hellenów, rozrzucone w ziemi Scytów nad brzegami Euxynu. Jednakże pomiędzy niemi jest wielu rzemieślników, jako to: złotników, a osobliwie piekarzy i cyrulików, tak niezbędnych dla wyznawców koranu, wielu bowiem z Tatarów, tak jak Turcy, golą sobie głowę. Wielu z Greków są tureckimi poddanymi; żyją oni tu za paszportami, często po lat kilkanaście, nie ponosząc żadnych ciężarów miejskich.

Ormianie, co do handlu i przemysłu nic nie ustępujący grekom. Należą oni do dwojga religijnych wyznań, są bowiem pomiędzy nimi 1-ód: Ormianie Gregoryańskiej sekty, którzy wyszli od niepamiętnych czasów z dzisiejszego ormiańskiego kraju i cierpieli za panowania chanów krymskich liczne prześladowania, a dziś mają swoję własną świątynię i nawet od lat kilkunastu rozpoczęli budowę drugiej w nowym stylu, która jednakże, dla braku funduszów, do dziś dnia zostaje nieskończoną 2-re: Ormianie katolicy, mieszkający w Eupatoryi od czasu Genueńczyków; ci lubo zajmują się tymże samym handlem co i tamci Ormianie, są jednakże bogatsi i przedsiębiorą wszystko na większą od tamtych skalę. Ormianie Katolicy mają także swój kościołek.

Wielu z młodzieży Greków i Ormianów zajmują się przewożeniem towarów i pasażerów z okrętów do portu. Młodzież ta odznacza się regularnością rysów i pięknością dużych, czarnych, południowych oczu.

Żydzi talmudziści, niczem nie różnią się od innych swoich braci mieszkających w Rossyi; są biedni, niechlujni, zajmują się krawiectwem, szewstwem, kowalstwem i faktorstwem. Synagoga ich dobrze odpowiada powierzchowności swoich pobożnych wyznawców talmudu.

Tatarzy, po Karaimach najliczniejsi mieszkańcy Eupatoryi. Jako lud dawniej panujący w Krymie, z pogardą patrzą na innych mieszkańców miasta, osobliwie na Karaimów, zwąc ich imieniem *Czufut* t. j. żyd. Tatarzy ci nie odznaczają się bogactwem; w Eupatoryi dwóch tylko Tatarów jest kupców kapitalistów, reszta albo najmują się do roboty, albo handlują drobnemi, powiększej części tureckiemi towarami, do których tak są uprzedzeni, że nie chcą wierzyć, aby wyroby rossyjskie mogły się z niemi zrównać. Przedając towary nigdy nie omieszkają dodać: to towar carogrodzki. Meczetów, albo w ogóle domów modlitwy 30; przy każdym jest szkółka (medrese), gdzie zimą bywa czasami do 900 uczniów, którzy latem rozpuszczają się po domach dla robót. Tatarzy są pracowici wtedy tylko, kiedy nie mają z czego żyć, ale za to do najwyższego stopnia są leniwi, kiedy mają garść ziarna i garść tytuniu, bez którego obejść się nie potrafią; nawet żebrak jedną rękę wyciąga do przechodzących, a drugą trzyma w zębach fajkę. Tatarzy, oprócz murzów i osób duchownych, płacą podatek i tak nazwany tatarski pobór na zabudowania miejskie. Każdy z Tatarów wiecznie marzy o największem szczęściu w życiu, o tem, aby być w Mekce. Bogatszym udaje się to, ale ponieważ podróż ta kosztuje wiele, wracają do Krymu w stanie największej świętości, bo tak goli jak święci tureccy.

Domów w Eupatoryi liczy się do 1,900; sklepów 336; jedna szkoła; typografia karaimska 1. łaźnie 3. fabryk świec i mydła 11. lamcowych 9. garbarni 10. zajezdnych domów 21. garkuchni 7. szynków 18. winnych sklepów 28. kawiarń 28. młynów wietrznych 150. Ludności w ogóle do 15,000 dusz.

Handel całego Krymu zostaje głównie w ręku Karaimów; środkami do tego jest doskonała znajomość miejscowości, ich kapitały i pracowitość, nikt obcy, bez ich pomocy handlować tu nie może. Karaimi posiadają ziemie, na których zakładają winnice. Prowadzą handel winem z Chersonem, Mikołajowem i Charkowem. Handel wina dochodzi do kilkukroć sto tysięcy rubli srebrem. Inni Karaimi zajmują się rolnictwem i chowem owiec.

Głównym punktem handlu w Eupatoryi jest zboże, zakupowane w guberniach Ekaterynosławskiej, Połtawskiej i Woroneżskiej, które wysyła się z tąd, stósownie do potrzeby i zysku, do Konstantynopola, Tryestu, Marsylii, Smirny, na wyspy Archipelagu i do Anatolii. Drugim punktem handlu Eupatoryi są surowe skóry, baranki krymskie, sól i nareszcie ryby. Rybołowstwo odbywa się na wybrzeżu morskiem, powiększej części wiosną i w jesieni, w dwóch porach kiedy ono jest obfitsze. (Z podróży Nowosielskiego.)

Rozmaitość.

* **Potęga wyobraźni.** Pocieszne zdarzenie opowiada Dr. Noble, lekarz, w odczytach swoich „o wpływie idei i wyobrażeń". Niejaki monsieur Boutibouse, Francuz, żołnierz z wielkiej armii Napoleona I. był także w jednej z owych zaciętych utarczek pod Wagram. Pod wieczór już szeregi jego batalionu okropnie były przerzedzone, naokoło padli towarzysze i przyjaciele jego i leżeli, to umarli, to umierający, to postrzelani, bez ręki, bez nogi, głowy, szczęki, ciemni na jedno lub oboje oczu, słowem, w najokropniejszy i najszkaradniejszy sposób pokaleczeni i poszarpani. Słońce już zaszło, zadumany monsieur Boutibouse nabił muszkiet, i udawał się na przednie czaty nocne; gdy nagle kartacz zagwizdnął po pod niego i porwał mu obie nogi, tak, że po kolana w piasek zagrząsł i uczuł, że obie nogi na stopę są krótsze. Ale dziwo! nie czuł bólu; monsieur Boutibouse wyrozumował sobie, że nagle przecięte muszkuły i nerwy przytępione, czucie straciły, a więc ból się później ukaże. Tak więc rozmyślając leżał do północy, czekając zarówno śmierci i chirurga. Niewiedzieć, czyjego przybycia więcej się lękał lub spodziewał; życie miłe, ale i ból przy amputacyi może przykrzejszy, niż śmierć, zresztą, jako prawdziwy żołnierz czekał, co mu losem padnie. Chirurg przybył pierwej, niż śmierć.

— A co ci monsieur Boutibouse, mój walny chłopcze? (Monsieur Boutibouse był już szpak sobie, ale wąs miał dziarski).

No, mów że, zagaił chirurg.

— Oh! niedotykaj mię się pan, albo tylko bardzo lekko; szatański kartacz obie mi nogi poderwał.

Chirurg się nachylił, opatrzył wszystkie członki, ale wszystkie były całe. A więc poderwał go do góry, dał silnego szturchańca, i z uśmiechem zakomenderował:

— *En avant monsieur Boutibouse.*

Monsieur Boutibouse wstrząsł się, spojrzał na nogi, wytrzeszczył oczy:

— A dalibóg nogi całe! i podskoczył raźnie. A gdyby takich tysiąc bomb i kartaczów! dodał i zaklinał chirurga, aby nie doniósł o tem gwardyi, jak istotnie rzecz znim się miała.

— Ach! byłemże wtedy kontent, wesół, nigdy tego nie zapomnę! Tak opowiadał później monsieur Boutibouse. Ani znaku rany na nogach moich nie było. Istotnie padł kartacz pod moje nogi i skrócił je o pół łokcia. Bo zarył się właśnie podemną w ziemię

a ja zapadłem w dół przez kartacz wykopany. Ten świst przeklęty i prąd powietrza odurzył mię.

* Przy dzisiejszych stosunkach i zamknięciu handlu rossyjskiego drogą morską ciekawe są rezultata pierwszego jarmarku na wełnę, który się od dnia 16 do 30. sierpnia 1853 r. w Brodach odbył. Na jarmark przywieziono wełny w ogólo 4368 cetnarów, mianowicie z Galicyi 12 cetn., z Wołynia 1556, z Podola 349, z Ukrainy 727, z Besarabii 491, z Pułtawy 420, z Chersonu 683, z Krymu 170 cetnarów. Za średnią wełnę płacono po 77 do 91 złr. w przecięciu, za średnio-cienką po 85 do 100 złr. za cienką średnio-cienką po 110—115, za cienką po 120 a za bardzo cienką po 124—132 złr.; małą partię galicyjskiej wełny sprzedano po 150 złr. Wełnę zakupiono dla Berna, Biały, i Neustädl. O znaczne bardzo partye wełny z Rossyą zawarto kontrakta, mianowicie jeden na 2000 cetnarów, które z Rossyi dostawić mają. Dużo wełny nadeszło dopiero po jarmarku; mianowicie w pierwszych dniach po jarmarku sprzedano zapóźnionej 1500 cetnarów. Izba handlowa brodzka z tego powodu, iż wełna na czas jarmarkowy z dalszych okolic Rossyi wcześnie przybyć nie może, uczyniła wniosek, aby o 10 dni przenieść jarmark brodzki. W ogóle było więcej kupujących jak towaru, z kąd wnosić można, iż jarmarki na wełnę w Brodach znakomicie wznieść się powinny.

* Korzeniowski Józef, napisał nową powieść pod tytułem: „Jedynaczka,” którą drukuje w gazecie Warszawskiej. W powieści tej uwiecznia pamięć estetyków z feletonu Czasu i w przysłowie ich obraca, dwukrotnie opowiadając o nich, jako o obrzyzgujących najznakomitsze talenta.

* Czas wydrukował obecnie powieść: „Burda, wyjątek z pamiętników litewskich w roku 1814.” Możemy zapewnić, że pamiętniki te nie tak daleko sięgają i nie są litewskie, bo powiastkę tę pod innym tytułem i z czynnością odbywającą się w Galicyi i bez niezręcznego skrócenia zamieszcza „Kuryerka Krakowska” z r. 1845, pismo, o którem dziś nikt nie wie, bo stało niżej świstka i Kuryera Warszawskiego.

* W feletonie Gazety Warszawskiej rozpoczął się był druk powieści Lucyana Siemieńskiego, pod tytułem: „Noc naddniestrzańska.” Dokończenia tej powieści autor nie nadesłał, przeto druk jej przerwany być musiał. Do tego przyszło, że redaktor Gazety Warszawskiej p. Lesznowski, wzywa aż na czele tej gazety o nadesłanie naprzód już zapłaconej powieści.

* Przybyli nowi męczennicy za wiarę chrześciańską. W niezgrabnej obronie Czasu na listy z Krakowa, umieszczane w Gazecie Warszawskiej, redakcya czyni finalną konkluzyę, iż na redaktorów Czasu, a mianowicie p. Manna dla tego powstają, iż bronią zasad chrześciańskich! Szkoda iż nie wyrazili się jaśniej, czy może zasad prawosławnochrześciańskich? których męczennikami w całym kraju stają się już Omega i krzyżyk berliński.

Przyjechali od dnia 25. do 26. sierpnia do Lwowa:

PP. Dzieduszycki Władysław, hr., z Krakowa. Komorowski Piotr hr., z Bilinki. Stankiewicz Stefan, z Podlisk. Borkowski Włodzimirz, z Lubieniec. Komorowsk Adam hr., z Konotop. Podlewski Aleksander, z Dołhego. Dzidowski Maciej, z Jasła.

PP. Obmiński Hiacenty, z Hussakowa. Sielecki Marian, z Sambora. Głowacki Włodzimirz, z Tarnopola.

Wyjechali od dnia 25. do 26. sierpnia ze Lwowa:

PP. Nikorowicz Karol, do Przemyśla. Gołuchowski Stanisław hr., do do Skalatu.

PP. Jaworski Mikołaj, do Sokołówki. Głogowski Ludwik, do Psar. Wszelaczyński Antoni, do Brodów.

Kurs telegrafowany z Wiednia 27. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	—.	Medyolan za 300 lirow	$115\frac{3}{4}$.
Augsburg za 100 złr.	$117\frac{5}{8}$.	Paryż za 300 franków	$137\frac{1}{4}$.
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	$22\frac{7}{8}$
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$116\frac{1}{2}$	Srebra agio	17.
Genua.	—.	Pożyczka 5% $84\frac{11}{16}$. $4\frac{1}{2}$	$73\frac{9}{16}$.
Hamburg za 100 tal. banco.	$86\frac{3}{8}$.	Akcye banku . . .	1256.
Konstantynopol	—.	Kolej połnocna . . .	—.
Liwurno.	—	Obl. ind.	—
Londyn za 1 funt szterl.	11. 25.	Nowa pożyczka z loterya	$96\frac{5}{8}$.
Marsylia	—.		

Dzisiejszy. Kurs lwowski.	Gotowka				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	27	złr.	5	kr.	31.
Dukat cesarski	„	5	„	32	„	5	„	35.
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	32	„	9	„	36.
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	50	„	1	„	51.
Taler pruski	„	1	„	46	„	1	„	48
Polski kurant i pieciozłotówka	„	1	„	20	„	1	„	21
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	„	87	„	30	„	86	„	—

Obligacye indemnizacyjne 73 40 do 74 Złr. 30 kr.

Zmiana pomieszkania.

Doktor **G. Schréter** mieszka teraz pod Nr. 184 w domu niegdyś Szwestki, a teraz hrabiny Sołtykowej, naprzeciwko Jozefiego przy ulicy Jezuickiej na 2 piętrze; ordynuje jak dawniej od 9—11 godzin. przed południem. (135) (1—3)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**